



JÓZEF CZAPLICKI

Plutonowy Józef Czaplicki, mam lat 44, żonaty, wyznania rzymskokatolickiego, zawód handlarz, na utrzymaniu dwoje dzieci: Janina (10 lat) i Krystyna (9 lat).

We wrześniu, podczas wstąpienia wojsk sowieckich na tereny Polski, mieszkałem w miasteczku Łunna, pow. Grodno. Partyzanci z miejscowej ludności białoruskiej rozpoczęli aresztowania i niszczenie Polaków, kilkakrotnie byłem doprowadzany do komisariatu w sprawie wydania im broni, którą miałem, lecz do ostatka nie zdałem. Wiedząc o tym, że zostanę aresztowany, gdyż byłem ochotnikiem WP od 1918 roku, służyłem w policji, należałem do organizacji państwowych (o tym wszyscy wiedzieli i ta chwila musiałaby nastąpić czy to wcześniej, czy później), zrobiłem zapasy żywności dla rodziny, na jakie mnie było stać, pożegnałem ich i udałem się stroną Warszawy.

6 stycznia 1940 roku zostałem schwytyany na granicy i osadzony w piwnicy, gdzie spotkałem kilkadziesiąt mężczyzn i kobiet. Piwnica była tak strasznie ciasna, że trudno było się obrócić [?], lecz nikt z nas nie płakał i nie tracił otuchy. 10 stycznia, po segregacji nas, zostałem wraz z innymi wysłany do więzienia w Łomży, gdzie były straszne przeżycia w czasie śledztwa i katowanie nas. Najgorsze w życiu było słuchanie spazmatycznego płaczu naszych kobiet. Jedną pociechą była modlitwa, którą odmawialiśmy dwa razy dziennie półgłosem. Dwa razy byłem osadzony po trzy dni w izolatce za rozmowę przez ścianę [?] z kolegami.

Izolator był straszny. Wpuszczano do ciemnej piwnicy w jednej koszuli i kalesonach, w kamaszach, bez skarpet i z gołą głową. W celach bardzo częste były rewizje nocą, podejrzanych odprowadzano do izolatorów pojedynczo, gdzie byli bici do utraty przytomności.

29 czerwca 1940 roku zostaliśmy, około 500 mężczyzn i kobiet, wywiezieni do Homla (ZSRR). Po drodze, przejeżdżając przez stację Grodno, przez znajomych dałem znać rodzinie o sobie, prosiłem, aby się nie martwili, a nastąpi chwila oswobodzenia.

W drodze dawano nam 400 gramów chleba i litr nieprzegotowanej wody. Ostatnie trzy dni drogi nie otrzymaliśmy chleba, tylko litr zimnej wody na dobę. Zaczęliśmy krzyczeć z wagonów „dawaj chleba”, lecz to ich nie wzruszało i nic nie pomogło. Do okien wagonów nie wolno było się zbliżyć, kłuli bagnetami. Brak było powietrza.

Wysadzono nas z wagonów na stacji Homel i po przeprowadzeniu formalności po kilkudziesięciu sadzano do celi. Leżeliśmy wszyscy nago. Tam poznałem ks. prefekta z Hajnówki pow. białostockiego, z nim widziałem tę nadzieję powrotu do Ojczyzny. On starał się każdemu przetłumaczyć i ulżyć w cierpieniach. W lipcu zachorowałem w celi i leżałem w szpitalu 22 dni, gdzie odczytano mi wyrok skazujący mnie na osiem lat łagiernych robót. Będąc jeszcze chory i słaby, zostałem z tymże ks. Wilniewczycem wysłany do łagru Kotłas. Tam rozpoczęli nową reorganizację i w październiku, gdy już był mróz, poczęli wysyłać do pracy stałej na rzekę Dwinę do wyładunku desek. Pracowaliśmy nocami i dniem, lecz jeszcze [nieczytelne] dobrze na duchu, dużo chorowało na nogi, czego nasi lekarze nie uznawali.

W listopadzie nocą zebrali nas 250 mężczyzn i zrobili z nas *kołonę* nr 5, pędząc w tajgę. Nie wolno było w drodze rozmawiać i odstawać od kolegów, za to byliśmy bici kolbami. W nocy o godzinie 1.00 przypędzono nas w las, tam rozpaliliśmy ogień i leżeliśmy na śniegu do rana. Po zrobieniu zbiórki dali nam gorącej wody i rozpoczęliśmy oczyszczać śnieg, spuszczać drzewo i ogradzać się. Po obiedzie otrzymaliśmy po 400 gramów chleba, tłumaczono nam, że prowiantu jeszcze nie przywieziono. Po ogrodzeniu się pobudowaliśmy namioty z brezentu i tak mieszkaliśmy więcej jak dwa miesiące. Spaliśmy w ubraniu, bardzo długo nie mieliśmy łaźni, wyżywienie marne. Kto był silniejszy, to się trzymał. Zaczęły się choroby, poczęli ludzie puchnąć.

Otrzymałem trzecią kategorię zdrowia z powodu opuchlizny i braku uzębienia i byłem nie [nieczytelne] namiotu, [nieczytelne], a na ostatku sanitariuszem. Na Wielkanoc 1941 roku ksiądz Wilniewczyc wypowiadał nas kilku, odprawił nocą mszę świętą w łaźni – to było dla mnie najmiłsze.

Gdy byłem sanitariuszem, na kuchni był podpułkownik Litwińczuk, który jak mógł, tak pomagał i obaj wspólnie pomagaliśmy kolegom. Niektórzy doktorzy nasi byli gorsi od Sowietów. Wypędzali do pracy ludzi opuchniętych, wyczerpanych na zdrowiu. Taki człowiek bardzo prędko padał. Umarłych wywozili nocą i w tajemnicy chowali w tajdze w nieoznaczonych miejscach.



We wrześniu, po zawarciu układu polsko-sowieckiego, poczęli nas zwalniać. Byłem wyznaczony do zwolnienia. W mieście Kotłas przy zwolnieniu wezwali kolegę Jana Głębockiego z Warszawy i Bolesława Ulkę z Grodna i poczęli się pytać, czy mnie znają z cywila. Rozpoczęli badanie, lecz [koleczy] nic im o mnie nie powiedzieli. W ostatnich dniach badania Polaków wybrali nas 30, razem z porucznikiem lekarzem Zaniewskim i odesłali do *kołony* nr 6, gdzie poczęli koleczy upadać na duchu po kilku tygodniach. Widząc, że ich [nieczytelne], zostałem wysłany wraz z innymi do karnej *kołony* 27 i tam zapadłem na zdrowiu. Korzystając z choroby, byłem [nieczytelne], gdzie polubił mnie lekarz Ukrainiec skazaniec polityczny i trzymał mnie do końca. Koleczy moi wszyscy, prócz mnie i ppor. Zaniewskiego, pochorowali się tak strasznie, że wszystkich wysłali do *kołony* odżywczej.

1 lutego 1942 roku zostałem wezwany do zwolnienia. Gdy otrzymałem pieniądze na drogę, prokurator zauważył mnie i papiery, na których widniało moje imię i nazwisko. Złapał papiery i skoczył do naczelnika NKWD, aby mnie zatrzymać, lecz widać nic nie mógł zrobić – zostałem zwolniony. Tego samego dnia byłem w Kirowie, gdzie już się mnie spodziewali i stamtąd do Ługawej [Ługowoj] do 10 Dywizji [Piechoty], 27 pp.

Wstąpiłem do armii polskiej 15 marca 1942 roku.

10 marca 1943 r.